

4603062.
Czytanki polskie

L. 25

TADEUSZ ZUBRZYCKI

409 58 69

WZIĘCIE WARSZAWY

(Opowiadanie z roku 1830/31)



1000182611

STANISŁAWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI ROMANA JASIELSKIEGO
1921

Z drukarni Leona Danklewicza w Stanisławowie.

208 24

212

A. 26182



BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Stała się rzecz dziwna, w dziejach wojennych bezprzykładna — armja feldmarszałka Paskiewicza, obciążona olbrzymim taborem, z mnóstwem ciężkich dział, „rozwleczone po rozmokłych od deszczu drogach, a raczej bezdrożach“, grzęzły armaty i furgony, przeszła tuż pod nosem, stojących pod warownym Modlinem korpusów polskich i skoncentrowała się w Płocku. Sam feldmarszałek dziwił się bezczynności polskiego wodza naczelnego, który nie skorzystał ze sposobności uderzenia na rozwleczone pułki rosyjskie, rozbicia ich i wytopienia w bagnach Ciechanowic i Raciąża. Również bez jakiegokolwiek przeszkody ze strony polskiej, generał Pahlen, idący w przedniej straży rozpoczął stawianie mostów na Wiśle. Że żołnierz polski z łatwością rozbiłby armję feldmarszałka, dowodem zwycięskie utarczki pod Młynarzami i Raciążem, gdzie, gdyby nie kunktatorstwo naczelnego wodza Skrzyneckiego i niedołęstwo generałów polskich, cały, maszerujący oddzielnie korpus Gerstenzweiga, mógł być do szczytu zniesiony lub wzięty do niewoli.

Feldmarszałek Paskiewicz osiągnął cel zamierzony. Był na prawym brzegu Wisły, korpus Rosena zagrażał Polakom na lewym.

D. 571/59/1 Knt 10c

Cały sierpień zeszedł na niedołącznych, obustronnych ruchach i mało znaczących utarczkach. Skrzynecki doczekał się złożenia z dowództwa nad armją, generałowie Jankowski, Hurtig i Sałacki zgonu na latarniach — naczelną władzę i prezesurę Rządu Narodowego objął generał Krukowiecki, naczelnym wodzem został stary Małachowski, szczerzy żołnierz, ale już wiekiem przyciśnięty i zniedołączniały. Popołniono jeszcze jeden błąd, wystawszy z Warszawy korpus Romariny, liczący 21.000 ludzi i 40 dział, przeciw Rosenowi.

Po odrzuceniu warunków feldmarszałka Paskiewicza, ofiarującego Polakom, w imieniu cesarza Mikołaja *status quo ante bellum*, armja rosyjska podniosła się z leż pod Nadarzynem, i w dniu 5. września rozpoczęła pochód ku Warszawie. Liczyła ona 72.895 ludzi i 315 dział.

Załoga warszawska wynosiła 34.566 żołnierzy i dział 109, jednak o kilka mil od Warszawy stał Romarino z przeszło 20-tysięcznym korpusem i czterdziestoma armatami. Położenie nie było rozpaczliwe — armja rosyjska z łatwością znaleźćby mogła grób w szancach Warszawy, gdyby nie późniejsze nieposłuszeństwo Romariny. Fortyfikacje Warszawy były jednak zbyt rozległe i zbyt liczne, przytem w części nie wykończone i słabo obsadzone załogą. Wojsko podzielono na dwa korpusy — jeden, którymi dowodził generał Umiński, miał bronić Warszawy od strony Mokotowa, drugim, któremu zlecono obronę od strony traktu kaliskiego, dowodził Dembiński. Obrony pierwszej linji

szańców podjął się bohater z pod Ostrołęki, generał Bem.

Najwarowniej ze wszystkich szzańców ufortyfikowaną była Wola. Wznosiły się tu silne okopy, lunety i reduty, jednak załoga Woli była zbyt słabą, by mogła stawić skuteczny opór. Składała ją 1317 ludzi z 8. i 10. pułków piechoty, pod komendą generała Sowińskiego starca, który w kampanji 1812 r. stracił jedną nogę. Jednak starzec nie tracił otuchy.

— Generale — mówił z pogodnym uśmiechem do Dembińskiego — żal mi dziś mojej nogi, gdyż bardzo by mi się przydała. Bądź jednak spokojny, łatwo mnie nie wezmą!

Również słabo była obsadzona reduta Nr. 54, której broniły dwie kompanje strzelców pieszych i sześć dział. Załogą reduty dowodził kapitan artylerji Julian Konstancy Ordon.

Generałowie polscy, a także Dembiński, byli zdania, że „nieprzyjaciel wołu za rogi brać nie będzie“, i że główny atak pójdzie nie na Wolę, lecz od traktów Lubelskiego i Krakowskiego, na pozycję generała Umińskiego. Omylili się jednak nasi strategicy — feldmarszałek postanowił „chwycić wołu za rogi“ i główny atak skierował na redutę Wolską.

O świcie, dnia 6. września, straszliwy huk dział zwiastował Warszawie rozpoczęcie szturm. 170 dział ciężkiego wagomiaru, przez dwie godziny miotało grad kul i kartaczy na szanice i barkany, okalające Wolską redutę. Sowiński z dwunastu swych dział odpowiadał długo i skutecznie, jednak nie był w stanie powstrzymać ulewy kul. Pod osłoną armat zbliżyły się

zwinięte kolumny Pahlenu i Kreutza, z tysiącem gwardyjskich ochotników na czele, ku szańcom wolskim i z wyciem rzuciło się spojone żołdactwo do szturmu. Szaniec Nr. 55, nieobsadzony załogą, zajęło bez wystrzału, pczem uderzyło na szaniec Nr. 54.

Kapitan Ordon po bohatersku spełnił swą powinność. Bronił się do ostatniego ładunku, strzelcy bagnetem i kolbą spychali wdzierających się na wały sałdatów. Walczono ze straszną zaciętością, lecz męstwo w końcu uległo przemocy, dwie kompanje nie mogły podołać szesnastu bataljonom. Obrońców szańca wybito niemal do nogi, Ordon z kilkoma pozostałymi przy życiu bronił się jeszcze, lecz i oni za chwilę uledez mieli.

Przy strzaskanej armacie, stał ostatni z pozostałych przy życiu artylerzystów, kanonier Nakrut, z tlejącym jeszcze lontem w rękę. Patrzył na swą zdruzgotaną armatę, którą od tyłu lat pilnował, patrzył na grad kul sypiący się na szańce wolskie, na trupy kolegów leżące przy armatach — i dwie łzy stoczyły się po licach żołnierza.

Płomień dopalającego się lontu sparzył mu rękę — żołnierz opamiętał się, oczy zaświeciły mu dziko — spojrział na swego porucznika.

— Kapitanie — wyrzekł chrapliwym głosem, — niech ich djabli biorą wraz z nami! Podpalę magazyn z prochem!

Ordon skinął głową.

— Podpalaj!

Nakrut skoczył ku magazynowi z prochem, umieszczonemu pod redutą. W tej samej chwili

mrowie sałdatów wdarło się na wały reduty i pokryło je w mgnieniu oka.

Wśród ciał poległych towarzyszy, stał Ordon, z skrzyżowanymi na piersiach rękami, nietknięty jeszcze i szyderczo wpatrywał się w idących ku niemu wrogów.

— Zdawaj się! — krzyknął doń idący na przodzie oficer.

Naraz rozległ się huk straszliwy, zakołysały się ściany i wały, zadrzała ziemia i szaniec Nr. 54, z rannymi, trupami i sałdactwem wyłeciał w powietrze.

To Nakrut spełnił rozkaz kapitana.

Obie walczące armje, przerażone, nieświadome tego, co się stało, przerwały bój, działa umilkły, nastąpiła cisza na całej bojowej linii.

Szturmujące kolumny cofnęły się w popłochu z miejsca zniszczenia. Szaniec pochłoniął przeszło 600 ludzi z pułków Białozerskiego i Jeleckiego, wraz z pułkownikami, generałowie rosyjscy Gejsmar i Gorczaków, ciężko ranni, ustąpili z placu.

Lecz milczenie nie długo trwało. Powietrze jeszcze drgało, gdy znów zagrały działa i cała dywizja Lüdersa uderzyła na szaniec Nr. 57, broniony przez 250 ludzi z 8-go pułku, pod wodzą majora Krasowskiego. Na nic się nie przydał bohaterki opór garstki naszych. Spite żołdactwo lazło jak trzoda pod nóż rzeźnika. Marli całymi szeregami, jeden na drugim, ale szli naprzód. Obrońców szanica rozniecono na bagnietach, rozerwano niemal na sztuki. Nikt z nich nie żądał pardonu.

Kilkunastu za ledwie, cudem niemal, przedarło się do reduty Wolskiej, unosząc ciężko rannego dowódcę.

Teraz dopiero zorjentowano się w sztabie głównym, że szturm idzie nie od Mokotowa i Powązek, ale od Woli. Generałowie polscy literalnie potracili głowy w tym dniu feralnym; Dembłński zapędził się na rekonesans aż pod Odolany, Umiński dał się zbałamucić generałowi Strandmanowi, który na czele 6.000 ludzi, zabawiał i zatrudniał przy trakcie lubelskim 18.000 polskiej piechoty, Bem, dowódca pierwszej linii szanćów, schodził w tej chwili z wieży kościoła lutereckiego, skąd rozpoznawał stanowiska nieprzyjacielskie.

Nieprzyjaciel uderzył całą nawałą na redutę Wolską. Leciał na nią grad żelaznego ptaetwa, rozrywał nasypy i palisady, gruchotał działa, rwał w strzępy ciała kanonierów, wiercił dziury w szeregach bataljonów 8-go i 10-go pułku. Ale jeżeli zacięty był atak, zaciętą też była i obrona. Stali tu dzielni majorowie Lipski, Biernawski, Wodzyński i Świtkowski, ranni kanonierzy na kolanach wlekli się od działa do działa i dawali ognia -- sam Sowiński stał przy jednej z armat i pracował jak prosty kanonier. Zaciekłość i zapamiętanie ogarnęło tych ludzi, wiedzieli, że umrzeć muszą, chcieli swe życie sprzedać jak najdrożej. Byli spokojni, zrezygnowani, gotowi na śmierć.

A rosyjskie baterje Fedoreńki i Perrina ziały taki grad pocisków na nieszczęsną redutę, iż zdawało się, że ją formalnie zasypią kulami.

Naraz do folwarku Świętokrzyskiego wpadł Bem, w towarzystwie swego adjutanta kapitana Jabłonowskiego. Miała go tu oczekiwać rezerwowa artylerja, pięćdziesiąt armat, pod wodzą pułkownika Chorzewskiego. Bem zastawszy tylko jedną konną baterję kapitana Łabanowskiego, z dwunastu dział złożoną, wpadł w niesłychany gniew.

— Gdzie armaty? — huknął groźnie.

— Rozebrali je dowódcy korpusów — odparł Chorzewski — wziął generał Umiński, wziął...

Bem zirytowany, w najwyższej pasji, cisnął czapką o ziemię i wyrzucił:

— Dlaczego pozwoliłeś pan je rozebrać? Ja pana każę rozstrzelać!

— Obowiązkiem generała było pilnować armat — odparł Chorzewski spokojnie — nie mogłem się opierać rozkazom wyższych rangą.

Bem umilkł, czuł, że wina na nim ciąży. On przepędził tę noc w mieście, w towarzystwie kawiarek i przespał szturm. Potoczył wzrokiem po oczekujących w gotowości kanonierach i zakomenderował przeciągłym głosem:

— Ruszamy! W skok!

Baterja pomknęła galopem, wśród gradu kul artylerji korpusu Kreutza. Padały konie pod kulami, artylerzyści odcinali je migiem i baterja gnała z wichrem w zawody. Przy Błońskiej szosie, z boku baterji Fedoreńki i Perrina, Bem osadził spienionego konia.

— Stój! Odprzodkuj! Oel! Ognia!

Rozkazy wykonano z błyskawiczną szybkością. Kule obsypały baterje rosyjskie, wysa-

dziły w powietrze kilka jaszczyków, pogrucho-
tały lawety, wybiły połowę zaprzęgu i obsługi.
Artylerja rosyjska cofnęła się z pod reduty
Wolskiej, ogień ustał, a korzystając z chwilowej
przerwy, pułkownik Piotr Wysocki ruszył z je-
dnym bataljonem 10-go pułku, na wzmocnienie
przetrzebionej załogi wolskiej.

Lecz trwało to chwilę tylko. Rosjanie opa-
miętali się rychło. Zawrzała straszliwa walka
artylerji. Bem dokazywał cudów waleczności,
rzucał się na wsze strony, zmieniał pozycje,
grzmiał piorunami, lecz wreszcie wobec prze-
wagi ustąpić musiał.

Znów rozpoczyna się bój o Wołę. Idą ko-
lumny Pahlena i Kreutza, idzie pułk morski,
idzie brygada grenadjerów Martynowa. Sam
feldmarszałek staje przed szeregami i woła do-
nośnym głosem:

— Sto rubli temu, kto pierwszy wdrze
się na wały!

Żołdactwo idzie na oślep.

— *Urra! urra!* — grzmi z tysięcy gar-
dzieli.

Lekka baterja Bagieńskiego zajeżdża im
drogę i zasypuje ich kartaczami, z wolskich
szańców idą dymy i błyskają wystrzały. To ich
nie wstrzymuje — morska piechota kładzie się
wałem trupów, wojsko brnie przez nie, przeska-
kuje, wdziera się na wały, obala parkan angiel-
skiego ogrodu. Tu spotyka się twarzą, w twarz
z bataljonami Biernawskiego i Świtkowskiego.
Przy nich stoi stary Sowiński, z karabinem w ręku.

— Bagnetem wyrzucić ich, wiarusy! —
woła generał.

Żołnierze wala salwę z karabinów z odległości pięciu kroków i rzucają się na Rosjan. Stary generał, postukując drewnianą nogą, idzie w szeregu, rozdaje ciosy w prawo i lewo. Obok niego walczą Wysocki, Lipski i Świtkowski. Przykład dowódców ożywia żołnierzy. Wiarusy idą niezachwiani, łamią i druzgocą jak burza, która wszystko zmiata, co jej stanie w drodze — uderzają na grenadjerów, których prowadzi sam Martynów z szpadą w dłoni.

— Zdawajcie się buntownicy! — grzmi ze wszech stron.

Wystrzał karabinowy kładzie Martynowa trupem — grenadjerzy przerażeni śmiercią wodza ustępują.

Raz jeszcze atak odparty, minuta, dwie spokoju, żołnierz ociera twarz spoconą, czarną od dymu, dobywa manierki i pije na pokrzepienie. Wie, że za chwilę walka się rozpocznie, walka straszna, beznadziejna — na śmierć i życie.

Przed frontem zjawia się Sowiński. Mundur na nim poszarpany kulami, twarz zczerniała od dymu prochowego, wiatr siwy włos mu rozwiewa, w oczach płomień, karabin z zakrwawionym bagnietem w garści dzierży.

— Wróg przed nami! — mówi szybkim, urywanym głosem. — Nie damy Woli.... chyba z życiem!.... Za Warszawę... za matkę... za Polskę... wyginiemy wiarusy!

— Wyginiemy generale! — woła rozgoryczkowany tłum. — Nie damy Woli Moskałom!

Z oczu skry im idą, karabiny raźniej chodzą im w rękach — zapał ogarnia wszystkich.

— *Urra!* — rozlega się ponownie.

To świeże kolumny rosyjskie.

Major Dobrogojski pijany od rana, a przytem tchórzliwy człowiek, ujrawszy mrowie piechoty rosyjskiej, przeraził się jeszcze bardziej.

— Zgubieniśmy! — woła — nieprzyjaciel otacza nas ze wszech stron! Ratuj się, kto może!

Część żołnierzy, ludzie zajęczego serca, słuchają głosu tchórze i uchodzą w jego ślady. Na wyłomie zostaje stary Sowiński, Wysocki, Biernawski, Lipski, Świtkowski i kilkuset żołnierzy. Śmierć nadchodzi — oni oczekują jej przebycia spokojnie, obojętni na wszystko, co dokoła nich się dzieje, z bronią do strzału gotową.

W ich umysłach skryształizowała się myśl jedna, jedyna:

— Nie oddamy Woli, chyba z życiem!

— Wiara! — mówi stary wódz, — ognia do ostatniego ładunku, a gdy tych zabraknie kolbą i bagnetem! Gotowicie na śmierć?!

— Gotowi, generale!!

Starzec wyciągnął rękę nad głowami tłumu.

— W Imię Ojca i Syna... Ognia!

Zagrzechotały karabiny — odpowiedział im długi i przeciągły okrzyk: *urra!* Piechota rosyjska strzelając, szła do ataku. Dym prochowy spowił Wolę gęstymi kłębam — tylko ogniste płomyki, błyskające wśród czarnej chmury dymu i grzmiące okrzyki bojowe, zwiastowały sztabowi naczelnego wodza, stojącemu przy drugiej linii szanców, że Wola dysze, że broni się jeszcze.

A w reducie Wolskiej rozgrywały się straszne sceny. Załogę reduty opanowało straszne uniesienie i szal bojowy. Lecz przemoc brała górę — legł Biernawski, legł Lipski, w kościele

dogorywał kapitan Krzywicki, padł ranny Wysocki i dostał się do niewoli — garstka naszych topniała, jak śnieg pod promieniami wiosennego słońca.

Świtkowski, z garstką ludzi, przebija się szczęśliwie przez tłumy ku głównym stanowiskom polskiej armji. Resztę Rosjanie wypierają z angielskiego ogrodu. Sowiński z Wodzyńskim i z resztkami czterech kompanji 8-ego pułku cofa się pod mury wolskiego kościółka. Raz jeszcze porządkuje i sprawia szczupłe szeregi, nabija jedyne działo.

Grenadjerzy i morska piechota opasują ich ze wszech stron.

— Ognia! — komenderuje bohaterski starzec.

Żołnierze sformowali się w dwuszereg, pierwszy szereg strzela, drugi nabija karabiny. Przed nimi ścieli się wał trupów, zostaje ich kilkunastu, kilku — w końcu cofają się do wnętrza kościółka.

Kule rosyjskie kładą ich wszystkich trupem. Przy armacie zostaje sam Sowiński. Stoi na swem szcudle, oparty o lawetę działa, zbryzany krwią, karabin w rękę trzyma, jak posąg ogromny, groźny w swem męstwie i nieustrasżoności.

Grenadjerzy rosyjscy, zatrzymali się przed nim z jakąś zabobonną trwogą i szacunkiem.

Wyszedł oficer, chustkę białą zatknął na szpadę, machnął nią i zawołał:

— Zdawajcie się generale! Żądajcie pardonu!

Starzec broń do oka podniósł, wystrzelił — oficer, ugodzony kulą, potoczył się i runął na ziemię.

— Niech żyje Polska!

Grenadjerzy rzucili się naprzód, kilka bagnatów utonęło w piersi starego wojownika. Starzec pochylił się, drewniane szczudło nie dozwoliło mu upaść, groźnym wzrokiem potoczył dokoła i skonał. Pozostał tak wsparty na lawecie, dopiero po kilku minutach runął jak dąb podcięty.

Przerażeni grenadjerzy cofnęli się z przestachem. Ogarnął ich lęk i zgroza, żegnali się i szeptali modlitwy.

— *Spasi Boh!* — ozwał się jeden z nich — zabiliśmy świętego przed domem Bożym!

Zawarczały bębny — nadszedł feldmarszałek Paskiewicz, świetnym sztabem otoczony. Grenadjerzy witali go grzmiącymi okrzykami.

— Wola wzięta! — zaraportował generał Pahlen, zajeżdżając mu drogę.

Feldmarszałek zatrzymał się przy leżącym opodal kościoła trupie Sowińskiego.

Starzec leżał z rozkrzyżowanymi ramionami, rozwartymi oczyma zdawał się grozić wrogom i po śmierci.

— Jeńców dużo? — zapytał feldmarszałek.

— Niespełna stu, ekscelencjo — brzmiała odpowiedź, — a i ci ranni co do jednego. Bronili się z dziwną zaciętością.

— Fanatycy! — mruknął feldmarszałek pod nosem.

Generał Kreutz zdjął kapelusz z głowy.

— Bohaterowie! — rzekł, patrząc bystro w stalowe oczy feldmarszałka.

Feldmarszałek wskazał ręką drugą linię obwarowań warszawskich.

— Ta linja, moi panowie. musi być wzięta dziś przed wieczorem...

W szeregach polskich grały trąbki, długo przeciągle i żałośnie.

— Wola wzięta!... powtarzała strwożona Warszawa.

Wiatr niósł gęste kłęby dymu od zdobytej Woli, wprost na stojący w osłupieniu główny sztab polski.

Wszyscy generałowie stali bezradni, przytłoczeni ogromem nieszczęścia.

Bogusławski opamiętał się pierwszy i odezwał się do zastępcy naczelnego wodza, generała Dembińskiego.

— Wolę odebrać musimy!

Dembiński skinął głową.

— Tak jest, szarża natychmiast! Czwarty i ósmy piechoty, Krakusy, grenadjerzy, wszystko naprzód!

Stary Małachowski, wódz naczelny, zwrócił się ku gromadzie, wracających z Woli rozbitków z 8-go i 10-go pułku.

— Ilu was haniebnie uciekło, nie pytam! — zawołał z wyrzutem. — Wyście jednak odbiegli swego generała, zgubiliście Wolę — do was należy odebrać ją, lub zginąć do ostatniego!

Żołnierze płakali ze wstydu, składali winę na majora Dobrogojskiego, który gdzieś zniknął, niżsi oficerowie zrywali sobie szlify i rzucali je pod nogi Małachowskiego, wołając w rozpacz:

— Niegodniśmy szlif, niegodniśmy!

Małachowski spojrział ku Woli, pod którą szykowały się liczne zastępy piechoty rosyjskiej.

— Naprzód, naprzód! — wołał ustawicznie. Adjutanci rozlecieli się na wsze strony, niosąc rozkazy wodza.

Zagrały trąbki, zawarczały bębny, rozległy się ostatnie komendy oficerów, żołnierze znikli w dymie. Za nimi runęły dwa bataljony 4-go pułku z pułkownikiem Majewskim na czele, skoczyli olbrzymi grenadjerzy, zerwały się lotne szwadrony Krakusów.

Natarcie było piorunujące. Paniczny strach ogarnął szeregi grenadjerów i karabinierów księcia Szachowskiego. Na czele atakującej kolumny szły resztki ósmego pułku, prac uciekających Moskali.

Blady strach obleciał i sztab rosyjski.

— Co to jest? — wykrzyknął feldmarszałek Paskiewicz — chyba Romarino nadciągnął?!

— Romarino, Romarino! strwożony okrzyk przebiega szeregi. — *Rebiata, spasajties!*

Szwadrony Krakusów rozwijają się do szarży. Widać ich jak na dłoni. Białe sukmany z czerwonym wyszyciem igrają z wiatrem, groty lanc i ostrza oficerskich szabel migocą w słońcu, małe koniki rwą się do szarży.

— Bij! — grzmi gromki okrzyk wzdłuż całej linji.

Lance zniżają się w pół ucha końskiego, biali jeźdźcy pędzą lotem ptaka. Zakotłowało się — kilkunastu Krakusów spada z koni, reszta rzuca się wprost na wraże bagnety.

Jedna chwila — ściana czworoboku rosyjskiego pęka, śmiali jeźdźcy walą wyłom z drugiej strony. Po pięciu minutach krwawej pracy, jadą na karkach uciekających.

Nadjeżdża szef sztabu rosyjskiego Toll. Wi-
dzi ogólny popłoch i przerażenie, wpraw-
niem okiem orjentuje się w sytuacji.

— Tchórze! — woła gniewnym głosem —
to nie Romarino! Uciekacie przed garścią!

Raz jeszcze rozpacz zwierza się z przemocą.
Głucho dudnią kolby po łbach, bagnety płużą
w krwi i znaczą krwawe kresy na barwnych
rabatach — żołnierzy polscy ustępują z wolna —
krok za krokiem.

Toll zziajany, zachrypnięty, staje przed
Paskiewiczem.

— Panie feldmarszałku — atak odparty!
Teraz na nas kolej! Rewanż za rozbicie Sza-
chowskiego!

— W jaki sposób generale? — zapytał
feldmarszałek.

— Zbierzemy kawalerję i rzucimy ją całą
masą naprzód. Pod osłoną kawalerji pójdzie
piechota i weźmie szturmem szanice Czystego.

— Spróbujmy! — wycedził feldmarszałek
przez zęby.

Na rozkaz Tolla gęste masy rosyjskiej ka-
walerji poczęły ścigać ku wziętej Woli.

Atak prowadził jeździec nad jeźdźce w armji
rosyjskiej hr. Nostitz.

Kawalerja rosyjska pędziła wprost ku
szancom Czystego.

Od strony Czystego na spotkanie huraganu
pomknęła polska artylerja. Od frontu Bem z 36
działami i dwie baterje Rybińskiego, od Żela-
znej karczmy baterja Jabłonowskiego, z wałów
pułkownik Romański grzmi kartaczami. Artylerja
zajeżdża drogę pędzącej konnicy i śle jej grad

pościsków na powitanie. Pierwsze szeregi wala się jak snopy, napróżno Nostitz zachęca, wał trupów końskich i ludzkich wstrzymuje impet ataku, przerażone konie zwracają się do uleczonej, a kartacze pękające z trzaskiem wśród szeregów szerzą zniszczenie dalej.

Toll wściekły, zrozpaczony, przyleciał pędem ku miejscu zniszczenia.

— Czemu nie atakujecie? — krzyknął do hr. Nostica. — Naprzód!

— Niepodobieństwo, generale — tłumaczył Nostitz — kule moszczą nami drogę, całe szwadrony giną, jak muchy, w tym piekielnym ogniu!

— Za każdą cenę naprzód! Te baterje muszą być wzięte! — dodał, armaty Bema wskazując.

Lecz skłębiona masa ludzi i koni, zasypywana co chwila kulami, otoczona wałem trupów, mimo szamotania się, mimo nawoływania Tolla i Nostitza, nie była w stanie ruszyć z miejsca.

Galopem nadjechał adjutant feldmarszałka.

— Panowie! — krzyknął donośnym głosem — rozkaz feldmarszałka: na dziś dość tej rzezi, cofać się!

A przy armatach pracował z zawiniętymi rękawami stary bombardjer Ówik i słał ostatnie pociski za uchodzącą jazdą. W tej chwili na młotem wzniesieniu ukazał się sztab feldmarszałka, badający poniesione straty.

Generał Bem piorunem przyskoczył do swego bombardjera.

— Nastawiaj działo! Pakuj kartacz i w nich!

Zsiadł z konia i sam działo nastawił, celował, poprawiał. Stary Ówik zapął podsypał, lont chwycił...

— Gotowe generale?

— Gotowe... wal!

Ćwik lont przyłożył, zagrzmiał wystrzał, kartacz z przeraźliwym świstem pękł przed nogami rosyjskich sztabowców.

Bem oczy ręką przysłonił, chcąc widzieć skutki wystrzału.

— Dwa pióropusze generalskie zapadły się, jakby w nie piorun trzasł! — wyrzekł wreszcie.

Bombardjer uderzył się po udach rękami,

— Wolałbym jeden generale, ale feldmarszałkowski. No, mają dość! Nie wejdą dziś jeszcze do Warszawy, psiepany!

Mimo tych świetnych epizodów w Warszawie panowało przerażenie.

Wieczorem 6 września Krukowiecki zwołał radę ministrów i przedstawił jej cały stan rzeczy. Uznano, że nie pozostaje nic innego jak układać się z Paskiewiczem, chociażby w tej nadziei, by zyskać czas do nadejścia Romariny. Niestety — zdradziecki Włoch zasmakowawszy w niezależnem dowództwie, przemyśliwał tylko nad tem, jakby Polaków najdrożej sprzedać i nawet nie myślał o przyjsciu z pomocą obleżonej stolicy. Krukowiecki zdecydował się napisać list do feldmarszałka z zapytaniem, na jakich podstawach jest upoważniony do układów i wysłał z nim generała Prądyńskiego do głównej kwatery rosyjskiej.

Adjutant Prądyńskiego, który miał prosić Paskiewicza o posłuchanie, zabłądził w ciemnościach nocy tak, że dopiero o świcie Prądyński

otrzymał odpowiedź, że feldmarszałek oczekuje go w Woli.

Paskiewicz przyjął Prądzyńskiego z całą wyniosłością dumnego zwycięzcy. O warunkach mówić nie chciał i groził nowym szturmem. Wtedy, jako pośrednik, wystąpił brat cesarza Mikołaja, Wielki książę Michał i zażądał od Prądzyńskiego deklaracji tej treści, że Krukowiecki jako prezes Rządu, uznaje Mikołaja królem Polski. Prądzyński, jakkolwiek nie miał do tego wyraźnego upoważnienia, to jednak w nadziei, że zyska potrzebny czas do nadejścia Romariny, zgodził się na tę propozycję i napisał deklarację następującej treści:

„Niżej podpisany oświadcza, iż będąc posłany do Jego Ekscelencji hr. Paskiewicza przez generała Krukowieckiego, obecnego Prezesa Rządu, z listem tego ostatniego, zawierającym propozycje ugodowe, wie o tem, że zamiarem wyż wymienionego generała Krukowieckiego, jest wrócić do zupełnego posłuszeństwa względem Jego Cesarskiej Mości, wraz z całym narodem polskim, oraz, że generał Krukowiecki dziś posiada całą władzę i teraz pragnie się dowiedzieć ze strony JE. feldmarszałka, jakie będą główne warunki“.

Paskiewicz zgodził się na dwugodzinną zwłokę i wysłał Prądzyńskiego w towarzystwie generała rosyjskiego Dannenberga do Krukowieckiego, z zaproszeniem go na rozmowę.

Spotkanie Paskiewicza z Krukowieckim odbyło się w karczmie wolskiej.

Ze strony rosyjskiej byli obecni: Paskiewicz, W. ks. Michał, Toll i hr. Berg, ze strony

polskiej Krukowiecki i Prądzyński. Przywitano się oziębło, Paskiewicz zapytał prezesa Rządu polskiego, czy przywozi akt poddania się na łaskę cesarza. W rozmowie użył wyrazu „buntownicy“.

Krukowiecki nie uląkł się. Zmierzył feldmarszałka dumnym spojrzeniem i wezwał go do miarkowania się w wyrażeniach.

Rozmawiali ze sobą jak grom z burzą. Zdawało się, że się rzucą na siebie.

— Ja tu nie przyszedłem jako poddany cesarza! — mówił wódz polski. — Dopóki mamy broń w rękach, występujemy jako państwo przeciw państwu!

Feldmarszałek uniósł się i zapowiedział, że w tej chwili rozpocznie ogień na całej linii.

— Rozpoczynaj pan — odrzekł Krukowiecki — zobaczymy!....

Paskiewicz był zdziwiony tą obojętnością, przez głowę przeleciała mu myśl, że Romarino przybył, dał rozkaz do ataku i znów go cofnął, niby to na usilne prośby W. ks. Michała, w końcu zawarto zawieszenie broni do godziny 1-szej w południe. Przez ten czas miał Krukowiecki postarać się u sejmu o upoważnienie do układów.

Po powrocie prezesa zebrała się rada ministrów i uchwaliła przedstawić rzecz całą sejmowi. Ministrowie Bonawentura Niemojowski i Teodor Morawski podali się do dymisji, Prądzyński został wysłany do sejmu, aby przemówić imieniem Rządu.

Prądzyński, przyszedłszy na posiedzenie sejmowe, przedstawił warunki feldmarszałka, którymi były: utrzymanie Królestwa kongreso-

wego, dodanie do niego obwodu białostockiego i zagwarantowanie konstytucji; armja polska miała opuścić Warszawę i w ciągu trzech dni wyprowadzić za Wisłę cały rynsztunek wojenny i magazyny: wojsko polskie wysła deputację do cesarza i przez ten czas zajmować będzie województwa płockie, podlaskie, krakowskie, część sandomierskiego i kaliskiego; cesarz udziela amnestję wszystkim Polakom, którzy brali udział w powstaniu tak w Królestwie, jak i w prowincjach zabranych. W końcu zauważył Prądzyński, że w wojsku duch osłabł, że pierwsze szarże wpadły w ręce nieprzyjaciół i że Warszawa w razie boju niechybnie zdobytą zostanie.

W izbie sejmowej nie było jedności. Niektórzy posłowie, jak wojewoda Nakwaski, potakiwali Prądzyńskiemu i byli za przyjęciem warunków, inni, jak Worcel żądali odroczenia sejmku i złożenia obowiązku układów na Krukowieckiego, natomiast Niemojowski, Godebski, Lelewel, Szaniński, Sołtyk, Łopaciński, Jełowicki, byli za dalszem prowadzeniem wojny.

Pierwsza godzina minęła, działa rosyjskie zagrzmiały ponownie, bomby padały tuż przed gmachem. Wobec tego sejm uchwalił załimitować się i udzielił prezesowi Rządu upoważnienia do wejścia w układy. Polegając na tej uchwale, Krukowiecki rozkazał Prądzyńskiemu udać się do feldmarszałka i upewnić go o tem, że odtąd nie już nie stoi na przeszkodzie do zawarcia ugody, oraz prosił, by przysłał do Warszawy pełnomocnika, celem zawarcia tejże.

Na szanłcach toczył się już o tej porze zacięty bój. Bem na czele artylerji polowej odpo-

wiadał tak dzielnie na ogień rosyjski, że mimo kolosalnej przewagi, w baterjach nieprzyjacielskich panowało takie zamieszanie, że nikt nie wiedział, co przed nim i obok niego się dzieje.

Cała ta nawała złożona z brygad Łukasza i Rotha, z pułku gwardji inflanckiej i jebrów gwardyjskich, wysunęła się z za Rakowca. Na skrzydłach biegły brygada kirasjerów i ułani, zaś od strony Wyględów trzy pułki konnej gwardji z hr. Nostitzem na czele.

Przeciw nim pchnął Umiński Wronieckiego, z dwoma bataljonami grenadjerów i 13 tym pułkiem piechoty. Grenadjerski bataljon Szległa, stojący na szosie raszyńskiej, pod Żelazną karczmą, bagnetem uderzył na grenadjerów Łuckich i przerzucił ich już przez garby i doły szaniec 81-ego, gdy piechota rosyjska następnej brygady okoliła go z dwóch stron. Zdawało się, że grenadjerzy nasi już zgubieni, lecz z tyłu rozległ się odgłos bębnow bijących do ataku i podpułkownik Paszkowicz nadszedł z odsieczą.

Rozpoczęła się zacięta ubijatyka. Nadjeżdżających z pomocą kirasjerów rosyjskich wzięły baterje Kożuchowskiego i Grabowskiego w takie obroty, że ci pozostawiwszy na placu mnóstwo zabitych i rannych uchodzić musieli.

Z całego bataljonu liczącego rano 850 ludzi zostaje zaledwie 280 grenadjerów i sześciu oficerów. Reszta zaścieliła swemi ciałami całą płaszczyznę.

O godzinie 5. popołudniu Wroniecki cofnął bohaterski bataljon pod rogatkę jerozolimską.

Równocześnie niemal kolumna Murawiewa, złożona z pułku grenadjerów Nieświeckich i 4.

pułku jegrów ruszyła na szanice 71 i 72. Umiński pchnął przeciw niej dziewięć szwadronów Krakusów pod wodzą Czarnomskiego i baterję konną Jabłonowskiego. Czarnomski, wsparty strzałami artylerji, uderzył jak wichra i w mgnieniu oka rozbił grenadjerów, którzy rozprószyli się po całym polu.

Lecz teraz spotkali się Krakusi oko w oko z trzema pułkami jazdy gwardyjskiej generała Nostitza, która galopem gnała z pomocą swoim. Krakusi nie dotrzymani placu doświadczonym dragonom gwardji i pierzchli wprost na baterję Jabłonowskiego, która musiała ogień zawiesić, by swoich nie razić. Generał Nostitz, chcąc zmyć wczorajsze niepowodzenie, w pierwszym szeregu walczy jak prosty żołnierz. Już kilku Krakusów padło z jego ręki, wszyscy uchodzą przed nim przerażeni, wreszcie dojeżdża go porucznik Aleksander Ekielski. Skrzyżowali szable kilkakrotnie, wreszcie porucznik, zręczny szermierz, ciął generała w głowę. Zwinęła mu się szabla, Nostitz ocalał, oplaciwszy tę rąbaninę długą kresą wzdłuż czoła. Nadbiegli oficerowie rosyjscy i krwią zbrozonego wprowadzili między tylne szeregi.

Dragoni ruszyli cwałem za uchodzącymi Krakusami i zapędzili się za nimi aż pomiędzy szanice. Tu dopiero zdołał Czarnomski zwrócić swoich i okolił dragonów wieńcem lanc. Obskoczonym dragonom przybywa z pomocą pułk czerwonych huzarów gwardji z Muszkin-Puszkinem na czele. Piechota nasza stojąc na wałach, z bronią u nogi, bezczynnie przygląda się tej rąbaninie, gdyż nasi i Rosjanie tak się zmieszali razem, że niepodobna było ognia rozpocząć.

Od strony wałów zagrały trąbki, 4-ty pułk ułanów, złożony ze starego, dzielnego żołnierza, wszął się w bok Rosjanom. Dywizjon, prowadzony przez majora Łączkowskiego, w pierwszym ataku rozbił czerwonych huzarów, wyrzucił ich na dragonów — natarcie drugiego dywizjonu złamało wszelki opór. Kawalerja rosyjska rozbita na kupy, jedynie w ucieczce szukała ocalenia. Niedobitki dragonów, unosząc rannego Nostitza, przedostały się na szanice i rozprószyły się po całym polu.

Gorszy los spotkał czerwonych huzarów.

Spędzeni szarżą ułanów w stronę miasta, pogнали ku rogatce Mokotowskiej. Tu szyldwach zamknął przed nimi szlaban i zwrócił ich w aleję Mokotowską. Garść ich przedarła się przejściem między barkanami 68-mym i 69-tym, zaś kilkudziesięciu zagnało się aż pod folwark Świętokrzyski i tam dopiero częścią wyginęli, częścią wpadli w ręce gwardji narodowej. Z całego pułku stanęło na drugi dzień do apelu zaledwie 165 jeźdźców i dziewięciu oficerów.

Na szanicach Czystego wrzała niemniej zacięta walka. Zabudowania, osady i przedmieścia gorzały jasnym płomieniem.

Dwa barkany 21-szy i 23-ci, gdzie sam Małachowski kierował obroną, z bezprzykładnem męstwem odpierały wroga. Tu pracował przy armatach siwowłosa weteran napoleoński, podpułkownik Romański, tu bohaterski Flojtan Dąbrowski z dwoma bataljonami 5-go pułku strzelców pieszych wiódł śmiertelny taniec na bagnety z całą brygadą Liprandi'ego.

W tej homerycznej ubijatyce, Rajnold Suchodolski, żołnierz i poeta, zasłaniając dowódcę własnymi piersiami, kolbą karabina zabił tylu nieprzyjaciół, ile odniósł ran, które nazajutrz w szpitalu, nie chcąc widzieć wchodzących do Warszawy Moskali, rozdarł, powodując swą śmierć. Tu generał Bem wystrzeliwał ostatnie naboje z swych armat, dopóki przez porucznika Trembickiego przemocą nie został uprowadzony z pola walki.

Jednak, pomimo wszelkich wysiłków, szanice jeden po drugim wpadały w ręce Rosjan. O zmierzchu druga linja szaniców znalazła się w ich posiadaniu — przetrzebione pułki polskie ustępowały ku trzeciej linji. Kanonierzy zagwaźdzali wałowe działa i schodzili z pozycji.

Przy rogatce Wolskiej i przy cmentarzu ewangelickim bój rozpoczął się ponownie. Bataljony Borzęckiego, Święcickiego i Szmuda zwarty się potężnie z karabinjerami i grenadjerami Nabokowa. Walczono zajadłe także przy rogatce Jerozolimskiej, gdzie stał bataljon strzelców 1-go pułku i grenadjerzy Szlegla.

Części cmentarza ewangelickiego bronił kapitan Krysztoporski, adjutant pułkowy, dla swej waleczności „Ajaksem Czwartaków“ zwany, na czele wyborowej kompanji 4-go pułku, resztę dwa bataljony tegoż pułku i dwa bataljony 1-go pułku strzelców.

Murowane domy, przypierające do zachodnio-południowego narożnika cmentarza, obsadził Krysztoporski najcelniejszymi strzelcami pułku, którzy morderczym ogniem z okien i piwnic domów powstrzymywali każdy zapęd nieprzyjaciela.

Gdy wreszcie artylerja rosyjska zdołała wybić wyłom w murze i utorowała drogę grenadierom astrachańskim, „Ozwartacy“ cofnęli się za krzyże cmentarza, brouląc się determinacją.

W tym momencie przybywa na cmentarz brygadjer Bogusławski, wódac bataljon Bobińskiego.

— Do miliona set djabłów! — woła do podpułkownika Borzęckiego — wymieć mi pan ten cmentarz bagnetem!

Borzęcki i Krysztoporski zbierają swoich. Borzęcki wznosi szablę w górę.

— Zbór na wyłomie cmentarza! — woła stentorowym głosem.

— Zbór na wyłomie! — powtarzają oficerowie i żołnierze.

Wszystko, co żyje zrywa się i bierzy naprzd. Literalnie wyduszają Astrachańców, przebijają się przez bezładne kupy karabinierskie i obsadzają wyłom. Łuna pożaru Czystego oświeca postacie „Ozwartaków“, stojących na wyłomie, z bronią do strzału gotową. — Krysztoporski, z resztą pozostałych mu ludzi, obsadza kościół ewangelicki, leżący o kilkanaście kroków od cmentarza.

Artylerja rosyjska z trudnością przeprowadziwszy swe jaszczyki pomiędzy gorejącymi domami, przyczem kilka z nich wyleciało w powietrze, skierowała ogień na mury kościoła. Krysztoporski odpowiadał rzadziej, lecz celniej. Napróžno Bogusławski słał do niego ordynanse z rozkazem opuszczenia niebezpiecznego stanowiska, uparty „Ajaks“ odpowiadał, że „nie prędzej ustąpi, aż wypali remanent ładunków,

jaki pozostał w magazynie". Już dach kościoła zaczął się zawalać pod granatami, kule i karacze wlatywały do wnętrza, gdy rozwścieżony generał wpadł z oddziałem saperów do kościoła i pod groźbą doraźnego rozstrzelania za nieposłuszeństwo, nakazał Krysztoporskiemu natychmiast opuścić kościół, zawadzający tylko palbie armatniej z wałów. Saperzy zapaliwszy stos smolnych faszyn w budynku, wyszli ostatni i przerabali nadto mostek na rowie.

Natychmiast z wałów miejskich wykwitła wstęga ognia, uprzątającego całe pole i przepędzającego Moskali poza mury cmentarza.

Dochodziła jedenasta w nocy. — Rosjanie na całej przestrzeni, od rogatki Jerozolimskiej do rogatki Wolskiej, nie zdołali przekroczyć wału, cmentarz był również w posiadaniu naszych, gdy nadszedł rozkaz od Krukowieckiego zaprzestania boju i cofnięcia się w głąb miasta.

Zawarto chwilowe zawieszenie broni.

Rosjanie również cofnęli się i rozłożyli ogniska o jakie dwieście sążni od wału, wzdłuż drogi wiodącej od przedmieścia Czystego do Powązek.

Ażeby dowiedzieć się, co było powodem tego rozkazu, musimy wrócić do generała Prądyńskiego, który udał się po raz wtóry w poselstwie do feldmarszałka Paskiewicza, przemyskając się między pociskami stron obu. Prądyński zastał feldmarszałka kontuzjonowanego kulą armatnią, zaprowadzono go więc do W. ks. Michała, który dodawszy mu generała Berga w charakterze upelnomocnionego do zawarcia układów, wysłał go z powrotem do Warszawy.

Przybywszy do miasta, zastali tu zmianę niespodziewaną. Posłowie sejmowi zebrali się ponownie, a Krukowiecki nie mogąc się doczekać upoważnienia pisemnego do układów i widząc, że sejm usiłuje całą odpowiedzialność złożyć na niego, złożył prezesurę. Prądyński zrozpaczony pośpieszył do sejmu i oświadczył, że woli udać się na pole bitwy i tam zginąć, aniżeli dalej odgrywać niewdzięczną rolę pośrednika. Wtedy sejm zdecydował się wreszcie i dał Krukowieckiemu pisemne upoważnienie do układów. Krukowiecki podaje warunki rozejmu, a na usilne naleganie Berga dołączył także list submisyjny do cara Mikołaja, z zastrzeżeniem, że pismo to dopiero wtenczas ważnem będzie, gdy pokój podpisany zostanie, na co Berg się zgodził. Berg i Prądyński odjechali powtórnie do Paskiewicza, przyczem Krukowiecki zalecił Prądyńskiemu, by oświadczył feldmarszałkowi, że „honor jego i interes narodu nie pozwalają mu przyjąć innych warunków, jak te, które były poprzednio projektowane i że on raczej woli zagrzebać się z całym wojskiem pod gruzami miasta“. O zmierzchu, już poraz trzeci w tym dniu fatalnym, stanął Prądyński przed W. ks. Michałem i po długim targu otrzymał od niego warunki, wprawdzie nie zupełnie takie, jak poprzednie, ale zapewniające przynajmniej ogólną amnestję, utrzymanie Królestwa i dające możliwość skoncentrowania wszystkich sił polskich pod murami Modlina. Ostatecznego zawarcia umowy miała dokonać deputacja, wysłana do Petersburga.

Faktem jest, że za szczerłość feldmarszałka i W. ks. Michała ręczyć nie było można, jednak ugoda ta zapewniała więcej korzyści, aniżeli późniejsza kapitulacja. Już sama możność zgromadzenia całej armji pod Modlinem, dawała pewną rękojmię. Prądzyński wracał do Warszawy w towarzystwie Berga, przekonany, że nie znajdzie oponentów. Przybywszy, dowiadują się, że Krukowiecki otrzymał dymisję, a prezesem rządu został Bonawentura Niemojowski. Przebiegły Niemiec Berg, dowiedziawszy się o całym zajściu, oświadczył, że ma upoważnienie traktować tylko z Krukowieckim. Posłano więc po Krukowieckiego, który tymczasem odjechał na Pragę. Na usilne prośby szefa sztabu generała Lewińskiego, Krukowiecki wrócił wprawdzie, lecz pokłóciwszy się z Ostrowskim, oświadczył, że traktatu nie podpisze i czempredzej oddalił się.

Obecny tej scenie stary Małachowski, z bolem serca podpisał konwencję militarną, oddając Warszawę, bez żadnych zresztą zastrzeżeń, armji rosyjskiej. Prądzyński, skompromitowany dwukrotnie wobec W. ks. Michała, udał się do kwatery rosyjskiej i oddał się Rosjanom.

Warszawa upadła!

Przy odgłosie muzyk wkroczyli do niej na drugi dzień Rosjanie, wygrywając tryjumphalne marsze. O tej samej porze wojsko polskie, członkowie rządu i sejmu, oraz mnóstwo osób cywilnych, w ponurem milczeniu opuszczało Pragę, żegnając stolicę Polski na zawsze. Gorzkiemi łzami płakali wiarusy, przeklinając wodzów i swoją dolę.

Konwencja, zawarta przez Małachowskiego, wydawała Rosjanom Warszawę, razem z Pragą i mostem praskim.

W ten sposób zakończył się przedostatni akt wielkiej tragedji dziejowej. Warszawa nie została zdobyta, lecz oddaną nieprzyjacielowi skutkiem błędów, popełnianych przez wodzów i sejm.

Kto ponosi winę tej klęski?

Zawinił sejm — to prawda, lecz większa wina ciąży na Krukowieckim, który nie pokazał się nawet na placu boju w chwili, gdy krew wojska, którego był szefem, płynęła strumieniem. Nie do darowania też było jego uniesienie w najkrytyczniejszym momencie, gdy wręcz odmówił podpisania traktatu.

Niemniej zawinił Romarino, który mimo wyraźnego rozkazu nie ruszył z odsieczą oblężonej Warszawy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego świetny 20 tysięczny korpus, wpadłszy niaspodzianie na atakujące pułki rosyjskie rozgromiłby armję feldmarszałka i nadałby całej sprawie inny obrót. Istniało silne podejrzenie, że Włoch zdradził, gdyż do obozu jego kilkakrotnie przybywali oficerowie rosyjscy i odbywali z nim dłuższe konferencje.

Z utratą Warszawy, głównego ogniska całego ruchu, rozstrzygnięty został dalszy los powstania. Oficerowie gromadnie podawali się do dymisji, dopóki nie zaczęto wydawać je z niezbyt zaszczytnym dopiskiem, że dany osobnik żąda dymisji „choć Ojczyzna w niebez-

pieczeństwie“, żołnierze cichaczem opuszczali szeregi.

Na radzie wojennej w Słupnie, z 42 dowódców tylko sześciu oświadczyło się za dalszem prowadzeniem wojny.

5 października armja polska przeszła granicę między Brodnicą i Szulcowem i złożyła broń przed Prusakami.

Nad ziemią naszą rozszalały się na nowo nawalnice i burze, mgła niewoli zastąpiła świat siołom i grodom. Anioł śmierci roztoczył skrzydła nad tą kralną mogił, krzyżów i szubienic i zbierał obfite żniwo.



BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 26182

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000182611

- WYD
ROMAN
Cz
1. Króliński K.
 2. —
 3. —
 4. —
 5. —
 6. Sokulski J. Legion
 7. Króliński K. Księg
 8. — Galic
 9. Sokulski J. Wolna t
 10. Króliński K. Wios
 11. — Pod jarzmem druzkiem.
 12. Sokulski J. W
 13. Jadwiga z Łob
 14. Króliński K. S
 15. Sokulski J. Opo
 16. Króliński K. B
 17. Sokulski J. Po
 18. Zubrzycki. Pod
 19. Sokulski J. O
 20. Zubrzycki. Wyprawa Dwernickiego na wotyn
 21. Sokulski J. Giller.
 22. Zubrzycki T. Rzeź galicyjska (1846).
 23. Czapeczyński T. Walerjan Łukasiński.
 24. Króliński K. Rok 1812.
 25. Zubrzycki T. Wzięcie Warszawy (1831)
 26. Sokulski J. Na polach Grochowa.
 27. Króliński K. Polska Wolna.
 28. — Bohaterski Lwów.
 29. — Józef Piłsudski.
 30. — Legjoniści żołnierzami Wolnej Polski

Teatrzyk polski:

1. Uczeń E. Nasza Krew.
2. — Wielka Chwila
3. — Orlątko.
4. — Górnośląskie dziecko.